

Warszawa, dnia 18 (30) Czerwca 1870 roku.

№ 26. | Cena w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop. 33¾). **Redakcja** w Warszawie przy ulicy Solnéj pod Nr. 715.—**Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka, ulica Senatorska Nr. 496, i tamże urządzona jest skrzynka na listy adresowane do Redakcji. *W Poznaniu* u **Leitgebera**, we *Lwowie* u **Wilda Karola**, w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza. | Rok VI.

CZŁOWIEK.

Umieszczeni na czele państwa zwierzęcego, obdarzeni wszechwładztwem nad wszystkiém co tylko oddycha, do nas należy ocenić znaczenie naszéj własnéj natury. Tylko człowiek jest zdolnym ropoznać



Puszczanie wianków w Warszawie. — (Strona 311-ta).

swe obowiązki i prawa, jakie mu służą na ziemi; reszta istot żyjących nie ma przeświadczenia o swym bycie. Rośliny i zwierzęta jemu podlegają, gdy tymczasem, ten pan ziemi zależy tylko od samego Boga. (*)

Jako istoty cielesne zaliczamy się do zwierząt; jako istoty obdarzone rozumem i duszą wypływamy z łona najwyższéj intelligencji. Rodzaj ludzki stanowi najwyższy szczebel kreacji ziemskiéj i słusznie jest przedmiotem podziwu. Gdy zwierzęta działają za wpływem ślepego instyktu, człowiek kieruje się tylko rozumem. Cały jego organizm objawia zdolność i przeznaczenie do życia, wynikającego z działalności mózgowéj. System nerwowy więcéj rozwinięty i czynniejszy jest źródłem dobrych, równie jak i złych wynikłości, które odróżniają rodzaj ludzki od innych gatunków.

Kreacja, nadając życie tworom ziemskim, postępowała stopniowo po hierarchicznych szczeblach organizmów. Po ustaleniu się tych niezliczonych związ-

---

(*) Dołącza się kopja obrazu ,,*Ecce homo*—**Oto człowiek**“ alarza Włoskiéj Szkoły *Caravaggio.* (*Przyp. Redakcji*).

ków chemicznych, które stanowią istotę ziemi, najprzód rozwinęło się państwo roślinne, obejmujące tak wiele rozmaitych rodzin, zacząwszy od pojedynczéj komórki, złożonéj z błonki i odrobiny zieleni, unoszonéj wirem przestworów wodnych, aż do owoco-rodnéj palmy, aż do pysznego cedru. Późniéj nastąpiły gatunki zwierząt żywiących się roślinami; potém szły zwierzęce plemiona silniejsze, szlachetniejsze, lub śmielsze, jak: mięsożerne, wyższe gatunki kręgowych, ptaki i zwierzęta ssące. Pomiędzy ostatniemi, także uwidocznia się wyraźne stopniowanie w doskonalącym się organizmie. Po przeżuwających, mięsożernych, nastąpiły małpy, orangutany; między niemi a człowiekiem, bardzo dobrze zapełnia przerwę Hottentot lub krajowiec Papuzji, żyjący na drzewach, albo też człowiek pierwotny, za którym śledzą nowsze badania, człowiek z wystającą i przedłużoną naprzód twarzą, nakształt głowy zwierzęcéj, człowiek pożerający sobie podobnych, człowiek-zwierzę. Dopiero na najwyższym szczeblu kreacji, spotykamy człowieka białego, który doszedł do największéj doskonałości cielesnéj, uszlachetnionéj rozwojem intelektualnym, nacechowanéj wpływem nauk i sztuk cywilizacyjnych.

Człowiek, górując nad stworzeniami ziemskiemi, podbił je pod swą władzę; działalność ich obrócił na swój użytek, jest ich głową, która za nich myśli i niemi kieruje. Uważać go można za rządcę, którego natura ustanowiła, dla utrzymania rozlicznych rodzin zwierzęcych w równowadze i karności.

Widząc wszędzie porządek cudowny, zgodność zadziwiającą, logiczność przyczyn i wynikłości, przyznać wypada słuszność tym, co mniemają, że zwierząt jest obowiązkiem tamować zbyteczną obfitość państwa roślinnego, przez ciągłe spustoszenie, jakie w niém czynią. Daléj, że zwierzęta mięsożerne muszą powściągać zbyteczne rozradzanie się trawożernych; że ród ludzki dla tego przeważa, żeby zaprowadził zgodność, karcąc jednych i drugich, utrzymując ich w przynależnych granicach. Przeznaczenie takowe człowieka potwierdza niejako właściwa mu zdolność, że może istnieć zarówno we wszystkich klimatach, że może żywić się zarówno roślinami jak i zwierzętami. Gdy zaś rodzaj ludzki zanadto się rozmnaża, gdy jego władza despotyczna zagraża bytowi innych organizmów, przychodzą klęski, niszcząco na niego działające: głód, zaraza, wojna; klęski, które właśnie wyradzają się najczęściéj w miejscach zbyt skupionéj ludności. Jest to, jakby upuszczenie krwi, uśmierzające zanadto wybujałą żywotność narodów. Chwile nieszczęścia dla rodzaju ludzkiego, są epoką rozwoju dla innych tworów przyrody; ponieważ my, pomnażamy się ich niszczeniem, wzbogacamy się ich łupieżą.

Jakkolwiek wszystko co istnieje, zdaje się na pozór przeznaczoném dla naszéj pomyślności, pomimo to, człowiek może się tylko uważać jako narzędzie, potrzebne wogólnéj budowie świata. Czyż mucha, która mu się uprzykrza, robak, co toczy jego wnętrzności, kleszcz, co się w pija w jego ciało, stworzone zostały żeby jemu służyć? Gwiazdy, pory roku, czyż one słuchają tego pana ziemi, który sam może stać się pastwą najmniejszego robaczka? Choroby, nieszczęścia, boleść, udręczenie, które sami przysparzamy sobie skutkiem naszych namiętności, dostatecznie dowodzą, że Opatrzność jest sprawiedliwą: chociaż umieściła nas w pierwszym rzędzie, jednak nie pozwoliła nam górować nad jéj prawami. Nie człowiek to panuje na ziemi, ale prawa boskie. Podległy nieodwołalnym wyrokom przyrody on pierwszym jest ich niewolnikiem.

Badając bez uprzedzenia układ wewnętrzny człowieka jako też jego kształty wewnętrzne, przyznać musimy, że nie jest zbyt hojnie obdarzonym. Przyroda nie opatrzyła go w żadną broń odporną, ani też zaczepną, które tak szczodrą rozdała ręką innym zwierzętom. Jego naga skóra, wystawioną jest na spiekotę słońca, zarówno jak na ostrość zimy, gdy tymczasem drzewo nawet zabezpiecza twarda kora. Długa niemoc dziecinnego wieku, pierwotna ciemnota, choroby, niedostateczność sił własnych, trudność powściągania żądz swoich, czynią z człowieka najnędzniejszą może istotę. Widzimy jak dziki człowiek wlecze dni smutne, napiętnowane dolegliwościami wszelkiego rodzaju; wieczna ofiara żywiołów, z trudnością zdobywa jakie takie zabezpieczenie, wystawione zawsze na wypadki losu. Czémże jest jego siła w obec lwa, czém jego bieg w obec szybkości jelenia lub giemzy? Czyliż może się wznieść własną siłą w powietrze jak ptaki, pływać jak ryby, czy ma węch psa, słuch zająca, wzrok orła? Możeż się poszczycić swoim wzrostem w obec słonia, zręcznością przy małpie, lekkością przy gazelli? Nie posiada ani świetnéj piękności pawia, ani też melodyjnego głosu słowika. Każdemu stworzeniu nadała rozumna Opatrzność wszystko co mu jest potrzebném; ptak drapieżny ma szpony, dziób ostry, potężne skrzydła; czworonóg ma zęby, kły, rogi; leniwego żółwia broni silna skorupa; a wszystkie zwierzęta posiadają instynkt zachowawczy.

Jeden tylko człowiek, przychodząc na świat, nic nie umie i nic zrobić nie potrafi. Musi się dopiero uczyć żeby umiał żyć, mówić, myśleć; długie prace przebyć musi, nim zdoła zaspokoić swe potrzeby. Płacz jest pierwszym jego głosem. Oto leży nagi, ten przyszły pan ziemi, spowijają mu ręce i nogi; jęczy, w cierpieniu i torturach rozpoczyna życie. Któreż zwierzę ma egzystencję tak znikomą, a obok tego dumę tak wielką, namiętności tak szalone? Przesąd, ambicja, chciwość, szał, oto są bodźce, co go prowadzą do panowania nad ziemią; dary te, częstokroć zgubne dla naszego szczęścia, dla naszéj spokojności, wyobrażają zrównoważenie wszechwładztwa.

Lecz właśnie ta pierwotna nagość i bezbronność człowieka, stały się źródłem jego rozwoju, postępu i udoskonalenia. Drażliwość jego skóry zmusiła go do noszenia odzieży; nauczywszy się zaś zabezpieczać przeciw niepogodzie, potrafił przekroczyć granice wszystkich klimatów i wszedł w posiadanie kuli ziemskiéj. Niewątpliwie kolebka człowieka mieściła się w strefach zwrotnikowych, gdzie żył obok małp, swych dawnych towarzyszek, dzieląc z niemi wspólne obyczaje, żywiąc się jak one, roślinami. Późniéj dopiero i to stopniami ulegał swéj naturze giętkiéj, zdolnéj do przyjęcia wszelkiego pożywienia.

Człowiek zawsze umie lepiéj od innych zwierząt urządzić sobie schronienie. Syberyjczyk kryje się podczas zimy w doły, w ziemi wykopane; Papuzjanin w Nowéj Gwinei zawiesza swe mieszkanie na gałęziach drzewa; hamak Wirgińczyka kołysze się pod cieniem sosen, aby go uchronił od wilgoci i napadu węży. Człowiek najdzikszy, jeszcze wynaleść umi

groty pośród skał. Grenlandczyk zamieszkuje kościoskład wieloryba, którego mięso spożył. Ale próby, doświadczenie długich wieków, wykształciły sztukę budowniczą. Araby przenoszą z sobą namioty na grzbietach wielbląda. Japończykowie malują swe domy trzcinowe. Najdawniejsze ślady budowli kamiennych, w Indjach, Egipcie, równie jak i w Europie, należą do plemienia ludzi białych.

Człowiek, wsparty umiejętnością budowania mieszkań i wyrabiania odzieży, posuwał się aż do okolic biegunowych. Prowadził za sobą posłusznego pomocnika — psa, i przy jego współdziałaniu, zwalczył najzuchwalsze zwierzęta. Jakby gnany nienasyconą niespokojnością, zwiedza świat cały, przebywa morza, kopie we wnętrzu ziemi, wydobywa z niéj szacowne kruszce, z dna Oceanów wyciąga perłę i koral. Umié podróżować, nawet w powietrzu. Zmusza ziemię do obfitszego wydawania płodów; ujarzmił zwierzęta potrzebne do jéj uprawy: posłuszne i korne oddają mu one swe mleko i mięso, oddawszy wprzódy pracę.

Jakaż to przestrzeń niezmierna dzieli dzisiejszego mieszkańca wielkich miast europejskich od pierwotnych typów człowieka! Ileż to lat nieprzeliczonych, ile zmian i modyfikacji tę przestrzeń wypełnia! Gdy dzisiaj jeszcze, krajowcy niektórych wysp Nowéj-Holandji, co pozostają na granicy zwierzęcości, dają wyobrażenie tego, czém był niegdyś rodzaj człowieczy w początkach swego wytwarzania się, szczęśliwy europejczyk lub amerykanin, stojąc na czele rodu ludzkiego, dumny wyższością, zdobywa coraz wznioślejsze prawdy i zmierza ku źródłu wszelkiéj genjalności, ku szczytom oświaty, potęgi, może nawet ku szczęściu! Jednostka ginie jako kwiat nietrwały, ale za nią idą inne. Generacje popierają bez przerwy święte dzieło postępu i udoskonalenia, które Opatrzność nam wyznaczyła za cel naszego życia. Człowiek jest przedstawicielem i wykonawcą przyrody, ma za obowiązek wypełniać pragnienia duszy naszéj, urzeczywistniać zamiary Najwyższego Stwórcy!

R. B.

O WSCHODZIE SŁOŃCA.

Rankiem jasnego słonka promyczek się schronił
W szmaragdową gęstwinę, kędy, śród zieleni,
Krwawemi jagodami berberys się płonił,
A wonny jaśmin, złotem słonecznych promieni,
Malował białe kwiaty — kędy strumyk dzwonił
Po kamykach swą piosnkę, ginąc gdzieś śród cieni —
A modrych niezabudek i konwalji białéj
Sperlone rosą główki w nurt jego patrzały.

Była to cicha ustroń... Gdy w blaskach pogody
Śmiało się niebo czyste — śmiechem mu wtórzyła,
A kiedy żar słoneczny piekł ją — na nią chłody
Rzeźwiącemi tchnął zefir, i tylko marszczyła
Wtedy swe jasne czoło, gdy strugami wody
Brzemienna czarna chmura cień na nią rzuciła.
Była to cicha ustroń ... cicha, jako tonie
Oceanu, gdy nad nim jasna zorza płonie.

Na ziemi się rozścielał, z traw i ziół uwity
Kobierzec, łzami rosy po wierzchu skropiony,
A w górze, ponad ostre ciemnych jodeł szczyty,
Otchłań nieba, błękitna, jak turkus stopiony;
I jeszcze wyżéj, we mgły poranku spowity
Konał księżyc, przedśmiertném cierpieniem zbledzony...
Drżący promyczek słońca jasną smugą blasku
Całował dno strumyka — potém legł na piasku.

Srebrnolistne olszyny, łącząc u sklepienia
Smukłe, wiotkie gałęzie i płaczące konary,
Były niby świątynią: u szczytu złocenia
Cudnych rzeźb dało słońce — środkiem szły filary;
Mgła sina w krąg wionęła, jak kadzideł tchnienia,
A szmer wody był dzwonkiem przy akcie ofiary...

. . . .

O naturo! cześć tobie... przed tobą się korzy
Człowiek, gdy twarz ci martwą ożywi Duch Boży...

Wiktor Gomulicki.

WIANKI.

Ostatnie wiosenne kwiaty z pierwszemi kwiatami rozpoczynającego się lata, wiążą się, splatają i układają wprawną rączką dziewczęcia, i formują wianek.

Wianek, jest to kółko z woni, barw i zieloności. Składa się nań biały kwiat akacji oznaczającéj miłość platoniczną, modry chaber symbol stałości, i szkarłatne róże miłość zmysłową oznaczające. Stałość pomiędzy duszą i ciałem! Takie jéj zbratanie byłoby ironją, gdyby sama stałość uczuć nie była tak przemijającą jak same uczucia. Nikt nie może być stałym dłużéj jak kocha. Nikt nie kocha ducha bez ciała. Formy zewnętrzne są zmienne, dla czegóż-by uwielbienie ciała miało przetrwać jego chwile świetności? A dusza czyż nie zmienia się?

Czyż to ciche, potulne, szczere i nadobne dziewczę, co zadumane zwija wianek, za rok, za dwa i daléj będzie takiém samém i tém samém co dzisiaj?

Dla czegóż marzy nieboga zwijając wonny wianek, że modrooki chłopiec co ją tak teraz kocha, będzie tak samo kochać ją za rok, za dwa i daléj, że ona będzie go tak samo kochać wtedy, jak dzisiaj! wiecznie kochać!

Kwiaty więdną, tracą barwy i woń swą cudowną. Pieśni słowika, milkną z końcem wiosny; miałożby uczucie, miałażby miłość, będąca kwiatem i pieśnią młodości ludzkiéj zarazem, kwitnąć i brzmieć jednakowo przez całe życie?

Wiecznie, wiecznie kochać go będę! powtarza sobie dzieweczka, zwijając wianek; i marzy o tém: jak z wysokiego krużganku żelaznego mostu wypuści z rączki ten wonny krążek kwiecia, krążek oznaczający wieczność; kwiecia, oznaczającego uczucia, na ukochaną Wisłę. Jak pomiędzy tysiącami daleko cudniejszych wianków, modrooki chłopiec pozna go i pochwyci i przytuli. Jak będzie do niéj szczebiotał i kwilił i gruchał dopóty, dopóki dobrzy ludzie nie ubiorą ją w białe powiewne szaty i zaprowadzą wraz z owym chłopcem do wysokiéj starożytnéj świątyni, przed ołtarz pałający tysiącami świateł, przed siwego kapłana, który pobłogosławi ich swą drżącą ręką, zamieni złociste pierścienie na palcach i zwiąże im ręce stułą jedwabną. Jak wracają ze świątyni przy odgłosie organów wśród mnogiego ludu, darzącego ich serdecznym uśmiechem, życzliwém wejrzeniem i dobrém słowem. Idą, idą ręka o rękę, idą gdzieś daleko w podróż życia, gdzieś w krainy nieznanych zachwytów, cudów i tajemnic. Szczęśliwéj drogi!

Ale dosyć już tych marzeń, wianek dawno gotowy, nadchodzi wieczór, rzesze płyną nad Wisłę,

pośpieszaj dziewczę, pośpieszaj za niemi: ale obetrzyj oczęta z łez które ci marzenia wycisnęły, otrząśnij wianeczek z tych łez gorących, bo spalą go zanim zaniesiesz go nad brzeg wód szerokich.

Na poprzek rzeki, żelazny, czarny, zazwyczaj drgający, dudniący i huczący most z żelaza wykuty, niby potwór apokaliptyczny na kamiennych nogach utkwionych w nurtach, stoi i dźwiga na swym pancernym grzbiecie ludu moc okrutną, dźwiga w milczeniu i zdaje się tylko sapać od niechcenia.

U stóp jego na bystréj wodzie dążącéj ku sinemu morzu od gór wysokich, uwijają się chłopcy wioślarze na swych zwrotnych stateczkach, spoglądają miłosiernie na wyżyny, na balkon żelazny, z nad poręczy którego białe rączki chwieją kraśnemi wiankami.

Cudzoziemskie nawy kołyszą się rozkosznie na przybrzeżnych falach i powiewają z wierzchołków wyniosłych masztów w czerwone swe migocące chorągiewki.

Stary grod Warszawy z jednéj, a Praga z drugiéj strony zdają się także dążyć ku brzegom na uroczystu, chwiejąc nim drżącą ręką w powietrzu... ale dziewczęcia nie widzi!

A tymczasem skromny wianek tkliwego dziewczęcia niedojrzany, zapomniany, wzgardzony, wymyka się na otwarte wody, i unosi się co raz daléj, co raz daléj, za góry za lasy, do sinego morza.

No nie płacz dziewczę, nie płacz gorącemi łzami; twój wianek aniołowie zaniosą przed tron Przedwiecznego nieskażony brudną dłonią, zatrutym oddechem, potępionêm okiem. Nie płacz; chłopiec nie dla ciebie, a ty nie dla niego. Niechaj podąża za hardą pięknością, smutna jego dola! Biała dłoń, z któréj wianek spadający na Wisłę pochwycił, wydrze mu kiedyś serce, znęka duszę, zaćmi wzrok, rzuci na ziemię pod swe stopy, sponiewiera i odepchnie.

Smutna jego dola.

Wianki się sypią z wysokiego mostu; dziewczę zasmucone wraca do swéj cichéj izdebki — a po za nią rozlegają się rzesze tysiącznemi głosy.

Co za rozmaitość wianków.

Począwszy od maleńkiego wianka ubogiéj dziew-



Wschód Słońca — (Strona 311-ta).

stość, zdają się nachylać strzelistemi wieżycami po nad ramiona dążących ku brzegom rzeszy, żeby lepiéj widzieć co się na Wiśle wyrabiać będzie.

O śpiesz się dziewcze, śpiesz ze swoim kwiecistym wiankiem; któż ci zaręczy, że za rok od dzisiaj zdołasz zdobyć się jeszcze na dar tak świeży i cudny dla Wisły matuli?

Otóż z wysokiego mostu, na szeroką rzekę lecą wianki kwieciste, jakiś czas jaśnieją pomiędzy niebem a ziemią, a za chwilę padają w rozwarte objęcia chłodnych toni, które schwyciwszy je i przytuliwszy do piersi, uciekają z niemi od złych ludzi.

Ale rój chłopców zuchwałemi zwroty, zdumiewającym pędem, goni za niemi, wydziera je z łona Wisły matuli i tryumfalnie powiewa niemi nad swojemi głowy.

A tu sypią się nowe wianki, a wśród nich spada i wianeczek tkliwego dziewczęcia, upadł obok świetnego wianka ciśniętego niedbale białą rączką hardéj piękności.

Modrooki chłopiec porywa świetny wianek hardéj piękności i upojony dumą spogląda na wyżyny moczyny, własną ręką splecionego, aż do rzęsistego wianka za drogie grosze, od przekupki przez możną piękność nabytego — aż do potężnego wianka uwitego pracowitą dłonią czeladzi rzemieślniczéj i na barkach przez nią nad brzeg rzeki przydźwigalnego.

Kto ma wianki niesie je i daje Wiśle w daninie, kto ich już nie ma, smutno spogląda na ukwiecone nurty, święte swe czasy wspominając.

Otóż i ostatni spadł wianek, i nastaje cisza oczekiwania—próżnego oczekiwania.

Cienie wieczora zaczynają słać się na rzekę, mgły nadwodne chwiać się i przeciągać chłodem, gród ozwał się dzwonami z wysokich wieżyc, wietrzyk tęskno dudni z pól zamiejskich i rzesze, niby czarna fala, odpływają szerokiemi potoki ku miastu z powrotem.

„Otóż i po zabawie, jakby jéj nie było,
Śniło się cóś na chwilę, lecz się już prześniło.“

A huk i dudnienie żelaznego mostu, znowu się rozlegają z pod kół pędzących wozów, a szum miasta znowu z ulic rozchodzi się w przestrzenie niby

odgłos górskiego wodospadu. Zapełgały gazowe płomyki, i wszystko podawnemu.

Księżyc wybieżał za chwilę na stropy i patrzy po Wiśle, patrzy i śledzi ubożuchnych wianków płynących ku sinemu morzu. Nadwiślańskie topole, widząc je przemykające w cichości u stóp swoich, szepczą zielonemi liścmi serdeczne powitania. A gwiazdy mrugają do nich złocistemi oczy. Płyną wianki samotne w srebrzystéj kąpieli, płyną nieznanemi brzegi w strony dalekie, z których na ojczyste niwy nigdy nie wrócą.

Ale płyną i łzy perłowe z cocząt dziewczęcych za temi wiankami.

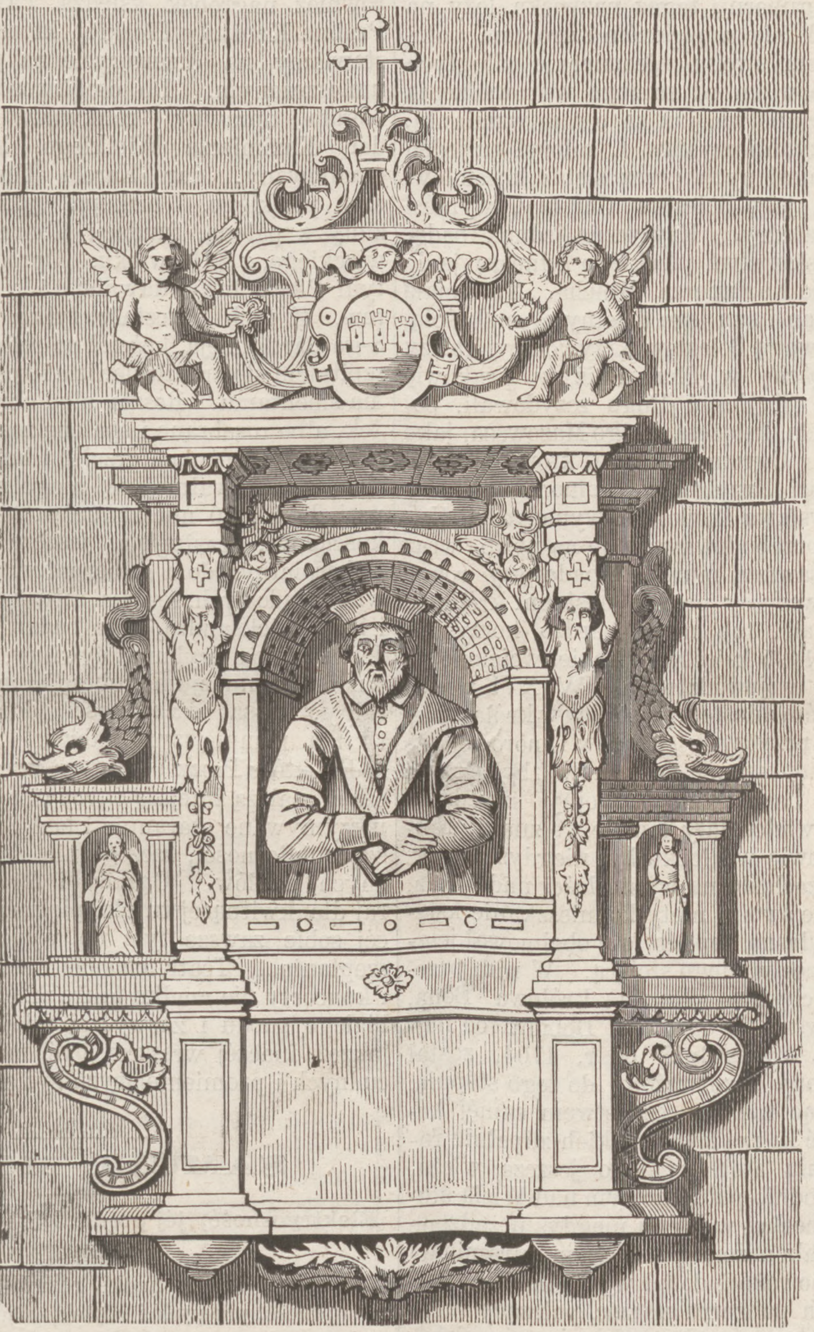
Łzy żalu i tęsknoty, z których życie się splata.

* * *

I nastała noc, noc Wigilji Ś-go Jana.

W cienistych dąbrowach, buja tajemnicza paproć. Chwieje swym strzępiatym liściem i szykuje się do godów. Gdy północ uderzy, z pośród tego liścia wystrzeli dziś kwiat jéj, o którym lud prawi że ma własność przyświecania w ciemnościach i rozświetlania wnętrza ziemi, w którém skarby są ukryte.

Ale cudny ten kwiat trwa tylko chwilę;—kto chce go dostać, winien téj chwili czatować, musi zwalczyć liczne przeszkody, i nie ulęknąć się okropnych straszydeł, wzbraniających przystępu do niego.



Nagrobek księdza Pawlą Głogowskiego w Katedrze katedralnéj w Płocku — (Strona 314-ta).

Kto pilny, śmiały i wytrwały, ten szczęśliwy, ten kwiat ów zdobędzie.

W ustach ludu nazywa się on kwieciem paproci.

A oznacza on wiedzę, która przyświeca w ciemności, rozjaśnia wnętrze ziemi i skarby w niéj utajone wykrywa.

Wiedzę zdobywa się męztwem, wytrwałością i czuwaniem nad chwilą, w któréj jest ona do zdobycia.

Każdy z nas w życiu ma taką chwilę;— kto ją opuści, lub kto nie skorzysta z niéj umiejętnie, nazawsze pozostanie w ciemności, a skarby ziemi będą na wieki dlań straconemi.

Taką chwilę stanowi kres młodzieńczości, a początek dojrzałości. Kto wówczas, kiedy poraz ostatni może sięgnąć po wiedzę, nie sięgnie po nią, lub zadrzy i cofnie się przed trudnościami, zgubiony.

Bo kwiat niewczas gdy rozkwita,
Rychło uschnie na drzewinie,
Myśl gdy młoda nie rozwita,
Już się nigdy nie rozwinie.

I co za związek dziwny. Wianki Ś-to Jańskie z paproci kwieciem jednocześnie.

Wianek maluje krąg zaczarowany uczuć;—kto się raz weń dostanie, zabłąka się, lub musi stargać go własnemi rękami i zabijając uczucie, zarazem siebie zabić, lub na wieki skaleczyć.

Kwiat paproci maluje wiedzę, która raz zdobyta staje się siłą, żadną mocą ludzką niezwyciężoną.

Piękne są uczucia, ale bez siły ducha są zgubą.

Cudna jest siła, ale bez uczuć jest strasznym darem.

Ale jest czas na wszystko. Uczucia za młodu — wiedza w wieku dojrzałym.

I kwiaty wiosenne więdną, i słowik przyschyłku wiosny przestaje kwilić swe pieśni—i człowiek winien przestać ubiegać się za kwiatami, i nócić pienia; gdy lato życia się zbliża.

Wigilja Ś-go Jana jest początkiem lata;—mądrość ludu wybrała tę chwilę przejściową na uroczystość pożegnawczą wiosny a powitalną lata, wyrzeczenia się ułud, a ujęcia rzeczywistości, odłożenia tkliwych wzruszeń dla pracy i trudów.

Ongi młodzież zaraz z wieczora paliła sobótki, i piejąc starożytne praojców pieśni, przez płonące stosy skakała. Oznaczało to, że człowiek który go-

tuje się do żniwa życia, powinien umieć pokonywać wszystkie zawady, nawet potęgi natury.

Aleksander Osipowicz.

WYCIECZKA W PŁOCKIE.

(Ciąg dalszy, patrz Nr. 25-ty).

Płock, stolica gubernji tegoż nazwiska, leży na prawym brzegu Wisły w piękném i uroczém położeniu. Początkiem swoim niezmiernie odległych sięga czasów, albowiem od samego wprowadzenia do Polski chrześcjaństwa, już są o nim wzmianki. Podług kronikarzy, Mieczysław I. założył tu jeden z dziewięciu wzniesionych przez siebie kościołów, a syn i następca jego Bolesław Chrobry, wyniósł go do godności katedry. Krytyczne jednak badania początków biskupstwa płockiego odnoszą je do XI wieku, t. j. do Kazimierza Mnicha. Tu umarł Władysław Herman i syn jego dzielny rycerskością, zdumiewający odwagą Bolesław Krzywousty, którzy z upodobania częściéj w Płocku niż w Krakowie przemieszkiwali. Tu dosyć długo rezydowali, począwszy od Konrada, książęta całego Mazowsza, jako w swojéj stolicy. Ogromne klęski, które poniosło miasto od napaści Krzyżaków, Pomorzan, Litwy i wojen za Władysława Łokietka, wynagrodził Kazimierz Wielki, przebudowawszy je na nowo wraz z zamkiem, opasawszy murem i nadawszy różne swobody, które wszyscy prawie następni królowie polscy potwierdzali, lub nowe bardzo korzystne udzielali. Od r. 1495 księstwo Płockie, wcielone do korony, stało się województwem. W XVI wieku Płock był pierwszém miastem po stolicy w królestwie. W XVII wieku z przyczyny pożarów i morowéj zarazy zmniejszył się znacznie, jednakowoż był jeszcze dość ludnym i handlowym. Wojny szwedzkie w r. 1657 i 1704 wielce dały mu się we znaki. Najznakomitszą budowlą w Płocku był niegdyś zamek. Wystawiony od zachodu na wyniosłości nad Wisłą, zawierał w obrębie swoim nietylko mieszkanie książęce, arsenały i własną kaplicę, ale obejmował jeszcze katedrę naprzeciw niego stojącą. W nim przebywała często chytra włoszka, królowa Bona, dostawszy Mazowsze na oprawę. Dopiero od najścia Szwedów, a szczególniéj od r. 1704, został zrujnowany, spalony i zniszczony do tego stopnia, że nareszcie grożąc niebezpieczeństwem saméj katedrze, musiał być za rządów pruskich zupełnie rozebrany. Pozostała atoli z niego jeszcze wieża, w narożniku zachodnio-południowym nad Wisłą stojąca, zwana szlachecka, w któréj niegdyś urządzone były więzienia, zakończona płaskawym piramidalnym daszkiem, poważnie dotąd wygląda, niby osiwiały, w rdzawym pancerzu starzec, patrzący surowem okiem na czyny nowych wnuków i prawnuków. W narożniku północno-zachodnim wznosi się inna wieża z XV stulecia, służąca za dzwonnicę katedralną. W obrębie zamkowym mieści się kościół Ś-go Wojciecha z XIII wieku, niegdyś Benedyktynów, a obecnie zajęty na seminarjum djecezjalne. Katedra, sięgająca podług jednych czasów Mieczysława I, podług drugich XII wieku, należy do najsławniejszych w Polsce. Wystawił ją po zgorzeniu pierwotnéj Aleksander biskup płocki r. 1136, w formie krzyża, w stylu architektury wschodniéj. Ma 15 ołtarzy i 4 kaplice. W wielkim ołtarzu znajduje się obraz Wniebowzięcia N. M. Panny pędzla włoskiego, a w kaplicy zwanéj Zygmuntowską, obraz Ś-go Piotra w okowach, arcydzieło malarskie, zabrany nawet przez Napoleona I. do Paryża. Tu w jednéj z kaplic wystawione są także w r. 1825 grobowce Władysława Hermana i Bolesława III Krzywoustego, na pamiątkę, iż tutaj pochowane zostały zwłoki tych monarchów. Godnym widzenia jest również nagrobek księdza Pawła Głogowskiego, Prałata Kapituły Płockiéj, którego rysunek przedstawiamy na drzeworycie na poprzedniéj stronie umieszczonym. Do osobliwości skarbca należą: bogato oprawny relikwiarz Ś-go Zygmunta, dar Kazimierza Wielkiego; kielich szczerozłoty emaljowany, dar Karola Ferdynanda królewicza polskiego, biskupa płockiego, i kielich złoty z pateną, fundacji Konrada I. księcia Mazowieckiego, z XIII wieku. Oprócz téj głównéj świątyni Płock liczył dawniéj 15 kościołów i 6 klasztorów. Z tych pozostały tylko: kościół parafialny Ś-go Bartłomieja, kościół po-reformacki, klasztór ze szpitalem sióstr miłosierdzia i kościół Ś-ej Katarzyny na smentarzu. Reszta albo obrócone na inny użytek, albo rozebrane i spalone zostały. Dziś, pomimo przebytych różnych przejść i burz, pomyślność Płocka jest zadawalniającą, a ogólna jego ludność wynosi do 14,000 mieszkańców. Z gmachów, oprócz kościołów, zasługują jeszcze na uwagę: rząd gubernialny, dom gubernatorów, pałac biskupów, władz sądowych, resursa, ratusz, szpitale Ś-téj Trójcy i Ś-go Aleksandra, dom badań i więzienie karne. Jest tu także trybunał cywilny, archiwum akt dawnych, gimnazjum gubernjalne, konsystorz generalny, kassa oszczędności, dom zleceń rolników i kilka pomniejszych fabryk. Do wybitnych zaś ozdób, które Płock od innych miast królestwa odznaczają, należą tutejsze ogrody publiczne i prywatne, utrzymywane starannie i będące prawdziwą rozkoszą publiczności, szczególniéj latem wśród nieznośnych upałów. Ogrody i *Radziwie* to oazy, to raj dla kwitnącéj tu płci pięknéj i brzydkiéj, mającéj sobie zawsze tyle do wypowiedzenia, do wyszeptania... Teatr, chociaż niestały, zabawy, bale i koncerty nie rzadko także przerywają ciszę zgrzybiałego grodu i zazwyczaj udają się wybornie, bo jakżeż inaczéj wreszcie być może, gdzie tyle jest cudnych i promieniejących życiem rusałek?..

(*Dokończenie nastąpi*).

SAMUEL MORSE.

Elektryczność, jéj prędkość i telegraf pomysłu Morsego.

Powabne światło nauki, rozwój kunsztów i rzemiosł, wytworność, przepych i zbytek, nadające ponętny blask wyższym sferom towarzyskim, którémi od dawnych czasów świeciły miasta, rozrzucone na obszernéj przestrzeni Europy, jakby uprzywilejowane ogniska, czarującą siłą wabią do siebie tych wszystkich, co radziby sprostać przy wytrwałéj pracy, na obcych ziemiach zrodzonym talentom, lub tych wreszcie, dla których żądza nowych wrażeń, rozkoszy i zbytku, wśród rodzinnego kraju dosyć obfitych nie znalazła źródeł. Dziś, dzięki zastósowaniom pary, prawie jakby lotem ptaka każdy w krótkim czasu przedziale do upragnionego przybywa miejsca. Nie było tak dawniéj.

Rzemieślnik, szukający ostatecznego w swym zawodzie wykształcenia, z młodzieńczą siłą, podniecaną na-

dzieją świetnéj przyszłości, szedł pieszo, tracąc w długotrwałéj podróży te kosztowne życia chwile, które bez porównania korzystniéj upływałyby mu przy pracy, do zamierzonego celu zwróconéj; szedł on wszakże za przewodniczącą mu ideą, przebiegając jak mówiono wzdłuż i wszerz Europę. Wiele go sił, wiele trudów, wiele poświęcenia, kosztowało osiągnięcie zamierzonego celu? wiedzą o tem najlepiéj ci, którzy już dziś wiekiem schyleni, w młodości swojéj te ogniowe przechodzili próby, wiele zaś czasu? starajmy się to pytanie rozjaśnić. W tym celu przymuszeni jesteśmy udać się chociaż do niewielu liczb, te bowiem jaśniéj od wyrazów ten przedmiot nam wytłomaczą.

Największa długość Europy, od przylądka Ś-go Wincentego do gór Uralskich, niedaleko Iekaterynburga, wynosi wiorst 5071 czyli mil $724^1/_2$. Największa szerokość, licząc od przylądka Matapan w Grecji, aż do najbardziéj wysuniętego na północ cypla Norwegji, wynosi wiorst 3631 czyli mil 519.

Licząc dziennie drogę na 30 wiorst średnio, potrzeba na przejście pierwszéj długości dni 169, drugiéj dni 121.

Wprawdzie wędrowki o których wspomnieliśmy nie sięgały nigdy tych odległych przestrzeni, kres ich bowiem stanowiły najczęściéj niemieckie miasta, dostarczające nam niegdyś uzdolnionych rzemieślników. Po za te miasta, w granice Francji, Anglji, Włoch, rzadko który ze śmielszych wstępował wędrowców; pomimo to, ile i na to potrzeba było czasu, z łatwością ocenić możemy.

Spieszący na obce uniwersyteta młodzieniec, dla wzbogacenia umysłu skarbami wiedzy, jezeli nie należał do ulubieńców fortuny, nie wiele prędzéj przybywał do obranego miejsca; nie szedł on wprawdzie piechotą, lecz jechał powolnie, szukając najtańszych okazji. Sami tylko wybrańcy społeczeństwa, obsypani darami Plutusa, stosownie do swéj woli i chęci kierując warunkami podróży, w krótszym nierównie czasie odbywać ją mogli.

W stosunkach towarzyskiego życia podróż jest zawsze przerwą zwykłych codziennych zajęć. Przerwę tę bardzo często z wielkim trudem i kosztem zapełnić przychodzi, rzadko też bardzo błache jakie pobudki do dalekich są zdolne nakłonić wycieczek. W odległych stosunkach korzystamy z daru mowy pisanéj—i myśli nasze przesyłamy osobom, od których znaczna nawet przestrzeń ziemi oderwać nas nie może; lecz jakże była ona utrudzającą, jak często nawet zgubnemi albo szkodliwemi, niezbyt dawno jeszcze były rezultaty téj powolnéj, tygodnie, miesiące, czasem lata trwającéj korrespondencji. Myśli rodzą się w oka mgnieniu, ruchliwość społecznych stosunków wymaga szybkiego ich wprowadzenia w czyn, potrzebującego częstokroć współudziału osób oddalonych; a tym czasem niedawno temu, listy szły tak powolnym krokiem jak wędrujący rzemieślnik, czasem jak ów ubogi młodzieniec goniący za nauką, rzadko jak magnat mający wszystkie środki na swoje skinienie. Zwykłe codzienne obowiązki i zajęcia cierpiały na takim powolnym biegu korrespondencji, czuł to dobrze każdy, poddawał się wszakże z rezygnacją, zdawało się bowiem, że nie było w mocy ludzkiéj środka zapobieżenia złemu; tymczasem obszerniejsze rozwinięcie dróg bitych, koleje żelazne i żegluga parowa przyszły w pomoc przesyłce listowéj i zdziałały wszystko, co było w ich mocy. Dla zwykłych potrzeb było to wystarczającém.

Są w życiu niemal każdego człowieka chwile wyjątkowe, w których gwałtownie, natychmiastowo, potrzebuje w działaniach swoich współudziału osób oddalonych; kilka słów, czasem jedno słowo odpowiedzi, lecz prędko odebrane, zmienić jest zdolne cały bieg okoliczności i na przeciwną zwrócić je drogę. Życie, upływające miarowym biegiem, pośród jednostajnych zajęć miejskich, lub wśród wiejskiego zacisza, nie wiele chwil takich przedstawia; lecz natomiast z każdym dniem wzrastający rozwój handlowych i bankierskich stosunków, interesa i potrzeby osób wyższe zajmujących stanowiska, niemal ciągle wymagają szybkiego porozumiewania się z odległemi miejscowościami. Bieg poczt, prędkość pary, nie dostarczają tu już zadawalniającéj usługi; albowiem potrzeby naszego stulecia, domagają się dla swego zaspokojenia szybkosci tak wielkiéj, iżby przed nią nikła wszelka odległość pomiędzy najdalszemi nawet punktami naszego globu. Nauka uznała za odpowiednie temu zadaniu dwa potężne działacze przyrody: światło i elektryczność; prędkość ich biegu dosyć dawno była już znaną; lecz ujęcie ich ręką ludzką i zwrócenie do posług naszego życia, przedstawiało trudności, które szczęśliwie rozwiązane zostały. Genjalna myśl, opuściwszy dawne metody, zwróciła się do trudnéj do pojęcia prędkości, z jaką pojawiają się fenomena elektryczne, a z którą samo tylko światło współzawodniczyć może. Jakaż jest ta prędkość porównana z tą, jaką zwykle widzimy na ziemi? Aby odpowiedzieć na to pytanie, musimy znowu udać się do liczb, dających rezultata ciekawe i zajmujące; niezbyt długi ich szereg nie utrudzi zapewne uwagi czytelnika, lecz przeciwnie rozjaśnić zdoła zajmujące nas pytanie. Porównanie jest jedynym sposobem mierzenia wszystkiego, użyjemy go więc i tutaj, postępując w tym celu stopniowo, od małéj prędkości, jaką przedstawia wzięty za przykład chód pieszego wędrowca, uważany w ciągu 1 sekundy, do coraz szybszych biegów, branych w téjże saméj jednostce czasu, aż wreszcie dojdziemy do elektryczności; co utworzy szereg cyfr poniżéj zamieszczony:

Człowiek idący pieszo robi w sekundzie			Sążni	Stóp 5
Koń zaprzężony do wozu idąc truchtem .	,,	,,	1	,, $1^1/_2$
Dyliżans najśpieszniejszy.	,,	,,	2	,, $2^1/_2$
Statek parowy na rzekach.	,,	,,	2	,, $5^1/_2$
Okręt parowy	,,	,,	3	,, 5
Pociąg pośpieszny na drodze żelaznéj . .	,,	,,	7	,, 4
Głos w powietrzu . . .	,,	,,	192	,, 4
Kula działowa	,,	,,	231	,,
Światło	,,	,,	178240600	,,
Elektryczność podług dośw. Wheatstona .	,,	,,	266204000	,,
Elektrycznosc podług dośw. Walkera . .	,,	,,	17361100	,,
Elektryczność podług dośw. Fizeau i Gounelle	,,	,,	58854100	,,
Elektryczność podług dośw. Fizeau i Gounelle	,,	,,	102835500 czyli mil 23800	

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

LISTY Z PARAFJI.

I.

w Czerwcu 1870 roku.

W Czerwcu na wsi, przy księżycu, zazierającym przez okno, w chwili kiedy zasiadam do pisania, należałoby zachwycać się powabami natury, szmerem wiosennego wietrzyka, skrzeczeniem żab, brzękiem komarów i rozmaitemi innemi przyjemnościami wiejskiego wieczoru. Trudno mi wszakże zdobyć się na idylliczne zachwyty, gdyż dla komarów żywię nieprzejednaną nienawiść, a wiosenny powiew wietrzyka obdarza mnie nielitościwym katarem. Choroba to niewielka na

pozór, a jednak wielkich zgryzot bywa powodem. Naprzód, ból głowy niszczy we mnie wszelką chętkę do zachwycania się wiosną, co świadczyłoby o duszy czułéj i na piękno wrażliwéj; powtóre, zaczerwieniony nos, acz dodaje okazałości mojéj osobie, lecz odbiera możność podobania się okolicznym panienkom. Najczulsze sentymenty, wypowiedziane z akompanjamentem kichania, mogą tylko wywołać odpowiedź: ,,na zdrowie'', albo: ,,spełnienia życzeń,'' co bynajmniéj nie zadowalnia dążącego do stuły i szkatuły kawalerskiego serca.

A jednak.

Lubię pierwsze dni wiosny,
Gdy topnieją już lody
I ożywczy, radosny
Błyśnie promień pogody.

Wonie upajające
Lecą z wiatru powiewem,
Bory długo milczące
Napełniają się śpiewem.

Jeszcze śniegi na górach,
Ale wiosny przeczucie
W jasnych igra już chmurach,
W pierwiosnkach, w ptaków nucie.

Rozrzewnienie się z cicha
Budzi w sercu głęboko,
I pierś młoda oddycha
Tak rozkosznie, szeroko!

Niegdyś rymowałem w ten sposób; dziś pierś już nie taka młoda i nie tak szeroko oddycha.....

W smutnéj życia jesieni,
Na tém niebie wciąż szarém,
Kilka ledwie promieni
Dawnym świeci mi czarem.

I mokremi oczyma,
Blask minionych dni widzę,
Jak liść, co się zatrzyma
Na uschniętéj łodydze....

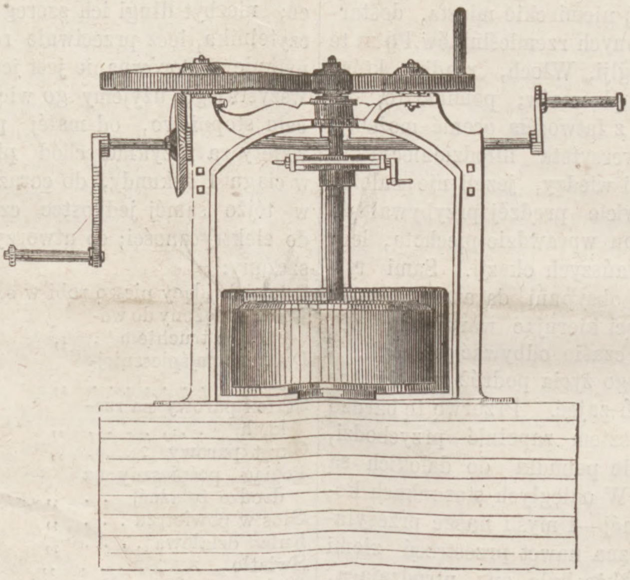
Przeszłość we mgłach już tonie,
Za nią patrzę żałośny....
Na jesiennym zagonie,
Nie wyrasta kwiat wiosny.

Wicher szumi w rozdole,
Pusto smutno na świecie...
Kiedyż to czarne pole
Zima śniegiem zamiecie?..

Nie wiem jakim trafem nasunęły mi się pod pióro, odwieczne, nawet przezemnie samego zapomniane zwrotki. Może mi je przypomniał wciskający się srebrnym promykiem księżyc, ów księżyc, obojętny słuchacz tylu rozmaitego gatunku rymów, wyśmiany w naszym racjonalnym wieku, a dziś znowu rehabilitowany w Tygodniku Mód, ładnym wierszem pani Seweryny Duchińskiéj.

Trudno zapełniać korespondencję rymami o wiośnie, nasuwającemi na myśl szkolną ławkę i owe ćwiczenia, w których pan profesor każe, pod karą niejedzenia obiadu, zachwycać się pięknością błękitnego nieba i różnobarwnéj łąki. O czém jednak pisać z kąta, oddalonego od centrów umysłowego ruchu, pomiędzy kłótnią o zajęte w szkodzie bydło, a narzekaniami na brak deszczu, lub jego zbyteczność obfitą? Dawniéj Korrespondent z prowincji mógł się ratować opisami balów u rozmaitych JJ. WW. i WW. z dodatkiem moralnéj nauki, że te pieniądze mogłyby na lepszy cel być użyte; mógł wreszcie na całym arkuszu oburzać się na brak humanitarnych pojęć w postępowaniu właścicieli ziemskich z pracowitymi kmiotkami. Dziś wybieg ten jest niemożliwym, gdyż JW. i W. nie mają za co dawać balów i w pokorze ducha dzwonią zębami, a opiewany niegdyś przez postępowych korospondentów ludek, zalewa pracowicie sadło za skurę, każdemu skazanemu na bukoliczne rozkosze ziemiańskiego żywota.

Przed laty dziesięciu, w niedawnéj, a tak bardzo już od nas oddalonéj epoce, pisma perjodyczne Warszawskie obfitowały w niezmierną ilość korespondencji z kraju. Byli wprawdzie czytelnicy, narzekający na zapełnianie szpalt wiadomościami z Mławy, które nie mogły zająć mieszkańca z pod Humania i nowinami z Owrucza, obojętnemi dla czytających je w Pacanowie lub Marjampolu. Narzekający mieli poniekąd słuszność, lecz potrzeba wziąść na uwagę, że, obok wielu nudnych i bezbarwnych korespondencji, mieściły się artykuły pełne życia i powszechnego interesu. Listy Kraszewskiego Antoniego Nowosielskiego, Tadeusza Padalicy, w czasach świetności Gazety Warszawskiéj, zjednywały temu pismu licznych zwolenników. Nie były to kroniczki miejscowych parafjalnych nowinek lecz artykuły treściwe, zakreślone szeroko, które dziś odczytują się z równem zajęciem, jak w pierwszéj chwili ich pojawienia. W owych to świetnych czasach perjodycznego naszego piśmiennictwa, dzienniki, jnie tak liczne wprawdzie ak teraz, lecz redagowane umiejętnie i zajmująco, grały znakomitą rolę w życiu naszego społeczeństwa. Pomiędzy piszącymi, a szerokiém kołem czytelników, istniał związek duchowy; myśl rzucona nie ginęła bez odgłosu, literatura stawała się konieczną potrzebą, pokarmem, bez którego obejść się niepodobna. Pieśń Adama brzmiała jeszcze z pod świéżéj mogiły, sędziwy Joachim jak posąg nauki panował swym ogromem po nad pracującém młodém pokoleniem, Kraszewski świetniał całym rozwojem olbrzymiego talentu, lirenka Lenartowicza dźwięczała cudownemi tonami... Są to dzieje starożytne, chociaż niewielka liczba lat nas od téj epoki oddziela.



Wyżymaczka do tkanin—(Strona 319).

Dziś zmieniło się wszystko. Szpalty dzienników pochłonęły całą niemal literacką działalność chwili obecnéj, co mogłoby nawet mieć swoje dobre strony, gdyż cienki arkusz łatwiéj od grubego tomu przeciska się do wszystkich warstw społeczeństwa; lecz nam potrzeba, aby pismo dawało rzeczywiście posilną strawę, nie zaś ckłe klejki, zaprawione zużytemi morałami. Dzienniki kipiące niegdyś życiem zbladły, a w odcinkach, świetniejących niegdyś najgłośniejszemi krajowemi nazwiskami, spotykamy dziś same tłómaczenia cudzoziemskich powieści. Zdarzają się wprawdzie niezłe, lecz i bażanty się przejadają, a cóż dopiero literacka tandeta. Nowe dość liczne okazy perjodycznego piśmiennictwa idą również chwiejnym krokiem, bez barwy wybitnéj, bez wyraźnie postawionego celu. Szara jednostajność wieje z nich i gdyby nie różnica formatu i tytułu wydrukowanego ozdobnemi czcionkami, możnaby się

Patrz Dodatek.

Dodatek do Nru 26go Opiekuna Domowego 1870 r.

nie raz pomylić i wziąść jedno pismo za drugie. Bez wątpienia, okoliczności zmieniły się, piśmiennictwo jednak mogłoby przynosić rezultaty bardziéj dodatnie. ,,Gdzie są drzewa i woda, mawiał Stanisław August, tam ogród gotów, byle właściciel miał smak.“ Otóż, na podobieństwo tego znakomitego.... ogrodnika, można powiedziéć, że gdzie jest papier i pióro, tam literatura kwitnąć może, jeśli tylko znajdą się sumienni i zdolni na tém polu pracownicy. Literaci nasi rozumieją to, a jednak bezstronnie patrząc na rzeczy, każdy wyzna: że literatura nasza stanęła niżéj w porównaniu z poprzedniemi latami. Fakt ten nie jest pojedynczym, miejscowym objawem; powtarza się on niemal wszędzie, nawet u narodów, dla których nie istnieją okoliczności wyjątkowe. Czémże jest olbrzymi zastęp francuzkich powieściarzy i dramaturgów, zapełniających tłumem różnobarwnych tomików księgarnie całéj Europy, w porównaniu z ową świetną epoką Wiktora Hugo, Lamartina, Balzaca, Alfreda de Musset, pani Sand? W Anglji po Byronie, Moorze, Walter-Skocie, pozostało tylko wspomnienie; Niemcy również nie wskażą następców Goethego, Schillera, Hejnego, a we Włoszech miejsce Ugo Foscolo i Leopardiego zajął *il Signor* Prati. Skąd pochodzi ten brak mistrzów słowa w naszéj epoce? Twierdzenie, że natura, wysilona w pierwszych dziesiątkach lat naszego stulecia, nie posiada już dosyć sił żywotnych dla wydawania znakomitych talentów, jest tylko czczym frazesem, bez rzeczywistego znaczenia. Z każdą wiosną odradzają się z nową, nigdy niewyczerpaną potęgą nasiona, okrywające ziemię zielonością; z każdém pokoleniem powstają świeże siły w zamian dawnych, które już zakończyły swoją pracę. Lecz jak zdrowe ziarno, przy nieprzyjających atmosferycznych warunkach, zaginie bez korzyści lub wyda płód chorobliwy, tak również największy talent nie dopnie zakreślonego mu przez naturę stopnia rozwoju, jeśli głos jego brzmi samotnie i bez echa. Zdarzają się wprawdzie wyjątki; talent rozwija się czasem przy najgorszych warunkach, lecz są to fakty izolowane, nie przeczące ogólnemu prawu. Można zatém wytłómaczyć ubóstwo literackie naszego pokolenia zobojętnieniem ogółu dla pismiennictwa, objawiającém się niestety i w naszém społeczeństwie. Objaw ten pochodzi z zapomnienia o niezmierném znaczeniu słowa pisanego w historji narodów. Literatura wszakże wraz ze sztuką są wyrazicielkami stopnia rozwoju w społeczeństwie i, podług ich świadectwa, przyszłość wyrokuje o danéj epoce. Mistrzowie greccy słowem i marmurem zapewnili nieśmiertelność Hellady. Ateny, przez tyle wieków licha mieścina, złożona z kilkudziesięciu ubogich rodzin, czyżby się nie zatarła w pamięci ludzkiéj, gdyby nie wielkie imiona, stojące na straży jéj przeszłości. Wir dziejowy, krusząc istnienie Hellady, nie zdołał zagłuszyć pieśni Homera, nie umniejszył potęgi Fidjaszowego dłuta. W epokach mniéj oddalonych dzieje cywilizacji wskazują nam Włochy, jako przykład potęgi umysłowéj, rozwijającéj się pomimo niezwalczonych na pozór przeszkód. Apeniński półwysep nie potrafiłby nigdy wywrzeć wpływu na sąsiednie ludy, gdyby siła materjalna była niezbędnym warunkiem tego wpływu. Podboje, ciążenie na sąsiednie kraje militarną potęgą, były rzeczą obcą dla Italji, rozszarpanéj przez drobnych władców i perjodycznie niszczonéj przez Francję, Hiszpanję i Cesarstwo Niemieckie. Gdzież więc leży źródło znaczenia Włoch w dziejach powszechnéj kultury, gdzie potęga, stwarzająca nad brzegami Tybru i Arno kolebkę nowéj cywilizacji na gruzach starożytnego świata? Oto, w natchnionéj pieśni Danta, Petrarki i Torquata, w głębokim politycznym zmyśle Machiawela w dziejopisarskiém piórze Gucciordiniego, w nieśmiertelnych dziełach Arnolfa di Lapo, Michała-Anioła, Leonarda da Vinci. Dzięki im, słaba i pozbawiona politycznéj potęgi Italja zajęła w dziejach cywilizacji kartę świetniejszą od wszelkich kronik, opiewających zwycięztwa i podboje.

Zacząłem od Warzawskich dzienników, a nieznacznie zrobiłem wycieczkę nad Egejskie wybrzeże i do pięknego kraju *ove il si suona*. Dzieje wielkiéj ludzkiéj rodziny tak są z sobą powiązane, iż na każdym kroku objawia się ten ścisły ich stosunek. Zresztą, przy powszechném niemal uśpieniu u nas, z głębi głuchéj wioski nie zamierzam bynajmniéj nadawać miejscowego kolorytu moim listom. Piszę nie ,,o parafji“ lecz ,,z parafji;“ zamyślam wprawdzie notować każdy objaw umysłowego życia

Portrety Charakterystyczne

pomysł i rysunek

Leona Kunickiego.

Szczęśliwi ludzie.



Nº 1. Przekonany, że serce każdéj kobiety podbić potrafi.



Nº 2. Byle tłusta pieczeń i dobre cygaro, o nic więcéj nie dba.



Nº 3. Kieliszek spirytualij od czasu do czasu, całą jest dlań pociechą.

jeśli się jaki zdarzy w prowincji przezemnie zamieszkiwanéj, lecz głównym przedmiotem moich gawęd, będzie literatura i sztuka, bez ścisłego zamykania się w granicach pewnéj epoki lub kraju.

Hołdując wolności osobistéj, pozostawiam łaskawym czytelnikom zupełną swobodę usypiania nad mojemi ramotami, jak mnie samemu przy ich pisaniu nieraz się to zdarza. Przemawia to w każdym razie na wspólną naszą korzyść, gdyż, jak wiadomo, dobry sen jest najlepszą oznaką czystego serca i ducha, niezamąconego występnemi myślami. *Tomasz Zawadyński.*

BŁOGOSŁAWIEŃSTWO BOSKIE
lepsze niż szlachectwo.
(Powiastka)

Było to w Krakowie, w pierwszych dniach grudnia 1587 roku. Anioł zimy pokrył białym całunem całe miasto, wszystkie jego ulice, dachy kamienic i smukłe wieże świątyń, kształtne gzymsy, posągi i inne architektoniczne wspanialszych gmachów ozdoby, a z pod téj białéj opony gdzieniegdzie tylko wyglądał krzyżyk pozłocisty téj lub owéj świątyni. Mróz był trzaskający i wiatr zimny przejmował dreszczem członki wystawionych nań mieszkańców.

W oknie jednéj z kamienic w rynku, naprzeciwko kościoła Św. Wojciecha, stała za zieloną firanką kobieta w ubiorze mieszczek Krakowskich, młoda jeszcze i ładna, ale blada, niby chora. Uśmiech anielski igrał na jej twarzy ale mieszał się ze łzą, co kiedy niekiedy spływała po jej licu. Utkwiła wzrok w pozłocisty krzyżyk na kościółku i skarżyła się Bogu oczyma, a usta jej szeptały słowa modlitwy. U nóg jej igrało dziecię kilkoletnie, swobodne, szczęśliwe. Szczęśliwe? nie, nie zupełnie. Widząc matkę płaczącą roztropny chłopczyk przeczuwał maleńkiém swojém serduszkiem jéj cierpienia. Nie postrzegając od pewnego czasu ojca przy jéj boku domyślał się, że to o niego idzie i chłopczyna bolał wraz z matką.

Powodem zmartwienia pani Janowéj rzeczywiście był mąż. Wczoraj jeszcze wyszedł z domu z jakąś hulaszczą szlachtą i dotąd nie wrócił. Nie dziwi ją to, boć nie dopiero zaczął dom swój zaniedbywać, nie dopiero dom przestał mu wystarczać do szczęścia: ale ona cierpi, bo serce jej nie może oswoić się z tém upokorzeniem, z tą samotnością zabójczą. Dzień po dniu mija smutnie, noce bezsenne przechodzą.

Kilka godzin przedpołudniowych pani Janowa przepędziła na gospodarskich zajęciach, teraz ma chwilę swobodniejszą,— swobodniejszą, aby puścić wolny bieg myślom smutnym, dumać, modlić się i płakać. Ach! iluż to kobiet, we wszystkich stanach, przez całe ich życie to tylko jest udziałem! Wieleż to ich przepędza wszystkie wolne życia swego chwile z oczyma wlepionemi w pozłocisty krzyżyk lub w gwiazdę na błękicie niebios!

Pani Elżbieta jest żoną mieszczanina Krakowskiego, drukarza. Sławny jest Kraków ze swoich drukarń, jest ich tam nie mało, wszystkie w ruchu, wszystkie pełno mają roboty, a jedna nad drugą przesadza się doskonałością swoich wyrobów, ale przecież żadna z nich nie wyrówna drukarni Jana Łazarzowicza, męża pani Elżbiety. Używa ona wielkiéj sławy i wziętości i każdemu wiadomo, że przewyższa nietylko wszystkie polskie ale i zagraniczne. W żadnéj nie ma takiego porządku, z żadnéj tak piękne nie wychodzą roboty. Za poprzedniego właściciela Łazarza, drukarnia ta nie była w tak kwitnącym stanie; dopiero Jan, objąwszy zakład po ojcu, tak go wysoko podźwignął. Ale bo też to nie lada drukarz ten pan Jan Łazarzowicz! To mąż uczony, w rozmaitych naukach biegły, zawołany polityk i prawnik, bywalec. Za lat młodzieńczych ocierał się na dworze cesarza Maksymiljana, zkąd go Mikołaj Firlej wojewoda Krakowski, będąc posłem od rzeczypospolitéj do tego cesarza, wziął z sobą i zalecił Zygmuntowi Augustowi na sekretarza. Po śmierci Augusta przeszedł w służbę Króla Stefana i został pisarzem poborowym. Sprzykrzywszy sobie jednak ten sposób życia, osiadł r. 1577 w Krakowie, wziąwszy na siebie drukarnię ojcowską. I przez lat kilka był szczęśliwy z żoną i dzieckiem, gdy w tém... anioł pychy przyszedł pomieszać jego szczęście. Panu Janowi zachciało się być szlachcicem. Myśl ta przyszła mu ni ztąd ni z owąd, dojrzała w nim szybko i w krótkim czasie ogarnęła całe jego jestestwo. Odtąd zmienił się nie do poznania. Jednając sobie przyjaciół między szlachtą, między dworzanami panów, przez których spodziewał się osiągnąć cel swoich życzeń, bratał się z nimi, zastawiał im uczty hojne, poił i częstował. Kandydatowi do szlachectwa nie wypadało pracować na chleb powszedni, ani więc pomyślał o drukarni, o pracy i zaniedbał się zupełnie zapomniawszy, że szlachectwo bogáctwa nie daje i nie uratuje od upadku tego, co jakby umyślnie i z własnéj woli dąży ku niemu.

Widząc pani Janowa na co się zanosi, bierze na swoje barki ciężar gospodarstwa, podwaja starania, krząta się w dwójnasób, zabiega gdzie może. Ale cóż poradzi słaba dłoń niewiasty? Czyż zdoła powstrzymać ruinę, gdy ją mąż przysposabia? Daremne jej starania. Jedna uczta pochłania to wszystko, co ona przez cały tydzień z trudnością oszczędzić zdoła!

Dnie i noce pan Jan przepędza za domem, w kole przyjaciół, w kole braci szlachty, a ona tymczasem albo przy pracy, albo przy oknie z splecionemi do modlitwy rękami, prosi Boga o odwrócenie klęski, o powrót dawnych dni jasnych, szczęśliwych.

Drzwi się otwarły, weszła sąsiadka, starsza od niej wiekiem, poważniejsza, ale nie taka smutna. Wita ją uśmiechem wesołym, lecz nie szczerym, pyta o przyczynę smutku. Domyśla się o co idzie i pociesza panią Janową, pociesza słowami zazdrości i skrytéj radości z jéj nieszczęścia. Znać i ona była z rzędu tych, co znajdują w tém niejaką przyjemność, gdy widzą że się drugim źle powodzi.

— Biedniście wy, pani Janowa, wówiła sąsiadka; wy, taka dobra, cnotliwa i takiego zamożnego mieszczanina żona. Pobłogosławił was Pan Bóg takim ślicznym aniołkiem... myślałby kto, że wam już niczego nie brakuje do szczęścia, a to przecie tak nie jest... O! ten pan Jan... ten pan Jan!

Pani Elżbieta niechętnie przyjmowała pożałowanie.

— Mylicie się sąsiadko, odrzekła: nie jestem nieszczęśliwa. Dziękuję Bogu za wszystko, co na mnie zsyła, tak za złe jak i za dobre i na nic się nie uskarżam.

— O!... podchwyci prędko sąsiadka, ja zarówno nad panem Janem jak nad wami ubolewam, bo to pewnie czary, pewnie czary. Zawsze zafrasowany, zawsze zachmurzony, niekontent z siebie, z żony, z dziecka i ze wszystkiego co go otacza, on, co dawniéj taki był dla was dobry. To pewnie czary, pewnie czary. Pan całą gębą, roboty zawsze ma. podostatkiem i dochody nie skąpe, łaski u panów, ba i nieboszczykowie królowie łaskawi byli dla niego, a i ten, co nam teraz zaczyna panować, nie ma przyczyny krzywo nań patrzeć. Czegóż mu więcéj potrzeba? Mówię wam, pani Janowa, on oczarowany, a temu możnaby zaradzić... ja się na tém rozumiem i właśnie przychodzę...

— Nie chcę, nie chcę, zawołała żywiéj pani Janowa.

— Sprobować nie zawadzi: alboć to ja jednéj opuszczonéj żonie poradziłam?

— Bóg wam zapłać za dobre chęci, przyjąć ich nie mogę i za nic w świecie nie przyjmę. (*Dokończenie nastąpi*).

Siła odśrodkowa w usługach przemysłu.

(Centrifugalkraft—Force centrifuge).

Maszyny i narzędzia, jakiemi się przemysł i rzemiosła posługują, powinny wszelkie rozporządzalne siły natury umiejętnie i korzystnie spożytkować, bo o tyle będą dokładniejszemi, im ten wybór był praktyczniejszym i więcéj odpowiadał celowi. Siła, jaką się technika w najnowszych czasach z wielką korzyścią przedsięwzięła posiłkować, choć ta siła oddawna już znaną była człowiekowi i zastósować ją umiano, objawiająca się w całéj przestrzeni świata, o ile nam to dzisiejsze najlepsze daleko-widze (teleskopy) dojrzeć pozwalają, jest to *siła odśrodkowa* czyli *centryfugalna*. Bez niéj, słońca spadłyby na centralne słońca, planety na słońca, a księżyce na planety, — i odwrotnie, gdyby je inne siły w równowadze między sobą nie utrzymywały. Jeżeli jakieś ciało porusza się około pewnego punktu środkowego, to ciało to usiłuje oderwać się od niego, a siła, z jaką stara się oderwać, zależną jest od jego massy i od kwadratu z chyżości z jaką na około tego punktu obiega, starając się zerwać sznurek na którym jest zawieszone, lub jak się rzecz ma z ciałami niebieskiemi, siłę ciężkości zniszczyć. Dla tego więc, ponieważ owa siła powiększa się w stosunku kwadratów z chyżości, to jest przy chyżości podwójnéj, potrójnéj, ciśnienie na opór staje się poczwórnem, dziewięćkrotnem i t. d., posiadamy więc możność dawania jéj upodobanéj wielkości, zastósowania jéj do rozmaitych celów i jednocześnie w każdéj chwili możemy zmieniać tę wielkość, odpowiednio do potrzeby i naszego upodobania.

Skutek owéj siły znany był człowiekowi oddawna. Dziecko, stara się mokry przedmiot tym sposobem osuszyć, że trzymając go w dłoni, ręką na około obraca; a skrzętna gospodyni domu, nie wiedząc częstokroć o żadnéj sile odśrodkowéj, stara się tymże sposobem wodę znajdującą się w sałacie i jarzynach z dziórkowanego naczynia oddalić. Ba, nawet garncarz od niepamiętnych czasów używa tarczy przy swojéj tokarni, obracającéj się z siłą odśrodkową. Ale daleko praktyczniéj owéj siły używały starożytne ludy, do rzucania pocisków na wielkie odległości, a takiż sam instrument, używany do dziś dnia przez naszych chłopaków, składający się z podwójnego paska sukiennego lub skórzanego, w końcu którego umieszcza się kamień mający być do celu rzuconym, posłużył także Dawidowi do zabicia Goljata; oddziały wojskowe u Egipcjan, Izraelitów, Greków i Rzymian procnikami zwane, zajmowały się rzucaniem w ten sposób na nieprzyjaciół pocisków.

Jeżeli rzetelnym jest rysunek w starém dziele włoskiém *Vitruviusza* z r. 1521 *o konstrukcjach budowlanych*, to spotykamy się tutaj z najdawniejszém użyciem siły odśrodkowéj w robotach na wielką skalę. Widzimy bowiem między łopatkami koła wodnego podsiębiernego, umocowane czerpaki, które na oznaczone miejsce wodę wrzucają do rynny, znajdującéj się dość wysoko nad dolném jéj lustrem. *Huygens* proponował (1673) dla zegarów penduły centryfugalne, które jeszcze dzisiaj czasami widzimy. Przyrząd, który pierwotnie używany był przy młynach angielskich, *James Watt* w r. 1782 zastósował do maszyn parowych, który służy jako środek do regulowania chyżości tychże maszyn. Tutaj siła odśrodkowa służy do tego, aby jeden lub więcéj ciężarów zawieszonych na drążkach, przy obrocie około osi, utrzymać w pewnéj odległości od tejże, tak, że przy szybkim ruchu, gdy się kule oddalają od osi obrotu, za pomocą stósownego mechanizmu, siła działająca na maszynę słabnie, a gdy kule skutkiem wolniejszego ruchu przybliżają się ku osi obrotu, taż siła maszyny staje się mocniejszą. Przy maszynach parowych służy w pierwszym przypadku regulator do zmniejszenia przypływu pary, w drugim razie do powiększenia onego. Jak się o tém Huygens przekonał, penduł odśrodkowy służy bardzo dobrze tam, gdzie jest ruch spokojny i jednostajny, bez najmniejszych wstrząśnień, jak np. przy instrumentach astronomicznych; i dla tego ma bardzo korzystne zastósowanie przy wielkim refraktorze w Obserwatorjum Dorpackiém, przy Ekwatorjale w Cambridge, przy apparatach do rejestrowania i przy latarniach morskich.

Bardzo dawno używano siły odśrodkowéj do pędzenia wiatru. W 1710 roku szkot *James Meikle*, jeżdżąc do Hollandji przywiózł z tamtąd do domu tak zwanego *Djabła* (Duyvel), to jest młynek do czyszczenia zboża, który otrzymał taki, nazwisko dla tego, iż z pomocą niego wydobywa się wiatr z towarzyszeniem hałasu. Pomimo że maszyna ta z ambony została zganioną a nawet wyklętą, znalazła przecież najprzód w Anglji, a następnie i daléj liczne zastósowanie. Czyszczenie zboża polega tutaj na przedmuchaniu strumienia zboża za pomocą wiatru, gdzie lżejsze ziareczka i ciałka odlatują i tym sposobem oddzielają się od dobrych i zdrowych ziarnek. Wiatr otrzymuje się tu z pomocą siły odśrodkowéj. W cylindrycznéj czyli walcowéj przestrzeni, obracają się około osi tegoż cylindra cztery lub więcéj skrzydła wiatrowe, które, odpowiednio do wielkiéj prędkości, z jaką się obracają, odrzucają wiatr od osi obrotu ku ścianom cylindra. Współśrodkowo z osią znajdują się w dnach otwory, a na obwodzie cylindra znajduje się także otwór. Odrzucone powietrze ku obwodowi cylindra musi uciekać otworem, znajdującym się w tymże obwodzie, a ponieważ powietrze rozcieńcza się około osi, dla tego świeże powietrze przypływa znowu otworami współśrodkowemi, a w dnach cylindra umieszczonemi i znów wyrzucone bywa otworem na zewnątrz. Apparat ten bardzo prosty, zastósowany został przez *Bowlego* (1836) do kuźni kowalskich, a następnie użyto go do wyciągania powietrza z rozmaitych przestrzeni i do wpychania tegoż, pod nazwą *wentylatora*. Stosownie do tego, czy wentylator opatrzony jest wentylem ssącym, czy wyrzucającym powietrze, skomunikowanym odpowiedniemi rurami, może tenże ssać lub powietrzem zasilać pewne przestrzenie, jak np. kuźnie kowalskie, kopulaki w odlewniach etc.

Jak do ciągnienia powietrza tak samo do ciągnienia wody ten nader prosty przyrząd zastósować można i od czasu jak Anglik *Appold* na Wystawie londyńskiéj w r. 1851 tego rodzaju pompę produkował, widzimy różne odmiany i wielokrotne naśladowania téj maszyny, pod nazwą *pompy odśrodkowéj* czyli *centryfugalnéj*, wyświadczającéj technice rozmaite usługi, albowiem w wielu wypadkach przy niezmiernie prostéj konstrukcji, z powodu jednostajnego strumienia wody i braku wentyli, zaleca się do użycia.

Podobny apparat okazał się być bardzo praktycznym do przesyłania ciał stałych na niewielkie odległości i małe wysokości. Widzimy dzisiaj np. przy młocarniach do podnoszenia wymłóconego ziarna, do młynków i sortowników, elewator wynaleziony przez Anglika *Underhill* w Newport, zastępujący w zupełności paternoster skomplikowany i częstych reperacji wymagający. Przez szybki obrót skrzydeł apparatu, który w każdym razie przedstawia wązki wentylator, ziarno gromadzi się do odpowiedniego zbiornika i tam dopiero kompletnemu poddaje się oczyszczeniu.

Ażeby coś nowego i podobnego otrzymać, próbowali panowie *Ransome* et *Sims* apparat ten obrotową tarczą zastąpić, którą posuwać się miało zboże w górę lub na upodobane miejsce — ale ten wynalazek nie dorównał poprzedniemu.

W sposób właściwy i praktyczny Szwed *Swen Ljunquist* starał się siłę odśrodkową spożytkować przy czyszczeniu i sortowaniu zboża oraz do sortowania tłuczonego kruszczu. Naczynie lejkowate, którego koniec na dół obrócony umocowany został na osi, wprawiał w ruch nadzwyczaj szybki i dostarczał mu zboża drugim lejem nad nim umieszczonym, które przyby-

wszy na dno pierwszego, przez brzeg tegoż do góry wyrzucone zostało. Odnośnie do ciężkości i oporu powietrza układały się lżejsze ciałka, jak plewa i t. p., najbliżéj, najcięższe zaś ciałka najdaléj, w koncentrycznych czyli spółśrodkowych kołach, w sąsieku. Lubo maszyna rzeczona znalazła w swoim czasie zasłużone uznanie, gdyż bardzo prostym sposobem nie tylko odrzucała ale i sortowała zboże—uległa jednak późniéj zapomnieniu. Dopiero przed dziesięciu laty podniesiono znowu ten wynalazek i zastosowano go na wielką skalę do oddzielania ciał mechanicznie z sobą połączonych.

Gropius i *Penzoldt* (1836) siłę odśrodkową zastósowali do oddzielania ciał stałych od płynnych, wprawiając w ruch obrotowy naczynia, centryfugami zwane, opatrzone bębnami dziurkowanemi, w których znajdowały się prane materje, a które tym sposobem osuszano, jakeśmy to w Numerze 5 Opiekuna Domowego opisali, mówiąc o Wyżymaczu;—co uzmysławia rysunek na str. 316 zamieszczony. (*Dokończenie nastąpi*).

Wiadomości Techniczne.

— **Stal Bessemera.** Nie wdając się tutaj w opisywanie sposobu otrzymywania stali Bessemera, znanego zresztą ludziom specjalnym, odsyłamy tych czytelników naszych, którzy go nie znają a poznaćby chcieli, do bardzo szacownéj rozprawy p. Karola *Szokalskiego* Inżyniera Górniczego, pod tytułem: ,,Otrzymywanie stali sposobem Bessemera,“ pomieszczonéj w Przeglądzie Technicznym u Gebethnera i Wolfa z. r. 1867 na str. 193 i następnych, objaśnionemi odpowiedniemi planami; a tutaj informujemy ich tylko, iż niezadługo expiruje patent swobody udzielony Bessemerowi, że zatém fabrykacja jego stali, obszerniejszego niż dotąd nabierze znaczenia. Szczególniéj fabrykanci angielscy spodziewają się wielkich obstalunków na szyny stalowe (rails) i na blachę stalową do budowy kotłów parowych, które dotąd z blachy żelaznéj robiono. Bessemer miał ze swoich patentów rocznego dochodu przeszło 120,000 funtów szterlin: (rs. 720,000), w skutek czego, stał się ogromnym bogaczem, chociaż przed 20 laty był tylko biednym robotnikiem, o którym jego znajomi mówili, że nigdy do niczego nie przyjdzie, gdyż cały swój czas i pieniądze przeeksperymentował. Lecz obecnie nabawił fabrykantów nowego kłopotu, gdyż wziął znowu patenty na przeróbkę pozostałości, która przy dotychczasowéj metodzie do 30% wynosi, a ponieważ podług tego ostatniego sposobu przerobieniem całego surowego materjału, fabrykacja stali nadzwyczajnie będzie tania, przekonani jesteśmy, że fabrykanci stali poddadzą się znowu tym nowym patentom, zkąd Bessemer nowe czerpać będzie dochody, a oni zawsze lepiéj wyjdą, niż gdyby, nie płacąc Bessemerowi haraczu, produkowali stal pierwszym jego sposobem, gdzie traci się 30% żelaza, jakeśmy to wyżéj nadmienili. *J. P.*

ROZMAITOŚCI.

— **Czy mu gęś smakowała?** (Anegdota Angielska). Kiedy zmarły niedawno biskup anglikański z Lichfield, Samuel Butler był jeszcze prostym plebanem, sławny doktor Parr, żyjący w jego okolicy, odwiedzał go bardzo często i zwykle, po każdéj wizycie, zostawał u niego na obiedzie. Pewnego razu, jadąc konno do swego przyjaciela, Dr. Parr zaskoczony w drodze straszną ulewą, przybył do plebanji zmoczony do nitki. Gospodarz wprowadził go natychmiast do swego sypialnego pokoju i zmieniwszy jego przemokłe ubranie na swoje własne, usadowił go przed kominkiem, na którym ożywczy dla skrzepłych członków doktora gorzał ogień, sam zaś powrócił do swego pokoju, by dokończyć kazanie, jakie swoim parafianom miał nazajutrz powiedziéć. Niedługo potem, gość jego, osuszony i ogrzany, otuliwszy się w szlafrok gospodarza, z czapeczką watowaną na uszach i obuty w jego pantofle, wszedł cichutko do pracowni i nie chcąc mu przeszkadzać w pracy, zasiadł z jakąś książką w ręku na uboczu, czekając niecierpliwie na pokrzepienie sił swoich obiadem. Po kilkunastu minutach milczenia, w ciągu których pleban był zajęty pismem a doktor czytaniem, ten ostatni podniósł nagle głowę i obejrzał się do koła, i zaczerpnąwszy kilka razy całemi piersiami i nosem powietrza, zawołał radośnie: ,,Mamy gęś na obiad!“ —Ja na prawdę nie wiem, odpowiedział gospodarz, ale to być może, bo moja kucharka wié doskonale co ty lubisz. I znowu nastąpiło milczenie, przerywane tylko skrzypem pióra piszącego kazanie plebana. ,,Pewny jestem gęsi!“— zawołał znowu Dr. Parr po jakimś czasie, wzdychający czule do obiadu i mile podrażniony dolatującemi go z kuchni zapachami. Bo też rzeczywiście, całe mieszkanie plebana napełnione było w téj chwili wonią doskonale upieczonéj gęsi. ,,Wyborne jedzenie! — wyborne, dalibóg!“ — mówił doktor cmokając językiem. „Proszę panów na obiad!“ zawołała w téj chwili gospodyni plebana, uchylając drzwi do pracowni swego pana. Gość zgłodniały zerwał się na równe nogi, by w sypialnym pokoju przebrać się w pozostawione przed kominem własne odzienie. Ależ, o zgrozo! Straszny widok uderzył jego oczy! Ulubiony kapelusz, tudzież starannie ufryzowana i wypomadowana peruka doktora, zrzucone przypadkiem przez swawolną kotkę, smażyły się nasiąkłe rozmaitemi olejkami i tłuszczem w zarzewiu, wyziewając najponętniejszy zapach pieczonéj gęsi, zapach, który biednego przemokłego doktora przed chwilą tak apetycznie rozmarzył. Łatwo sobie wyobrazić minę człowieka, który straciwszy smakowitą gęś tak wonnie pieczoną, pozbywszy się kapelusza i peruki, był w końcu przymuszony pokrzepić siły swoje tylko befsztykiem i nieodzownym w kuchni angielskiéj pudyngiem. Gęś przepadła, a woń z tych usmażonych przyborów jego mądréj głowy, była mu jedyną, smutną przyprawą, tak gorzko zawiedzionéj nadziei! ¿Czy mu ta gęś smakowała?

Family Herald.

† Dnia 7-go b. m. nad wieczorem widzieliśmy z żałosném współczuciem tłumny żałobny orszak, odprowadzający na miejsce wiecznego spoczynku zwłoki zgasłéj w pierwszym kwiecie wieku dziewicy. Tłumny ten orszak, oprócz zbolałéj rodziny i jéj przyjaciół, składała przeważnie ucząca się w tutejszych zakładach naukowych młódź żeńska, jéj matki i ochmistrzynie, przyjaciółki zmarłéj. Rzadkich, wzniosłych to cnót była dziewica, skoro śmiertelne jéj szczątki taka jawna a serdeczna cześć w ostatniéj chwili żegnania się z naszym ziemskim padołem otoczyła.

Tą przedwcześnie i niespodziewanie zgasłą, była ś. p. 21-letnia *Jadwiga Baraniecka*, córka Urzędnika Dyr. Gł. Tow. Kred. Ziem., dziewica wysokiego ukształcenia, od lat kilku z zamiłowaniem poświęcona zawodowi nauczycielskiemu. Oby rzewna boleść i żal jéj uczennic i wszystkich przyjaciół, obecnych temu smutnemu obrządkowi, tak wymownie nad grobem zmarłéj objawione, zdołały przynieść jakąkolwiek ulgę ciężko tym strasznym ciosem dotkniętych rodzicom zmarłéj i jéj pozostałéj strapionéj rodzinie.

Koniec Kwartału 2-go 1870 roku.

Wydawca, Mieczyński Adam. — Дозволено Цензурою. — **Redaktor,** Oskar Stanisławski.

Drukiem Jana Psurskiego, ulica Niecała Nr. 12 nowy